

Jej zawód.

Nie chcę nic, broń Boże, przeciw kobietom mówić, twierdząc tylko, że niedalekie są już czasy, w których młoda para małżeńska wieszować sobie będzie, kiedy się jej dziewczynka, a nie chłopiec urodził!

Bo, między nami mówiąc, dziś już z przewagą mężczyzn skończone! Pozostawiono nam wprawdzie fasadę jeszcze, ale za naszą fasadą ratusz jest rodzaju żeńskiego.

Kobiety górą są, ponieważ mitylko wszy stkie polityczne prawa zdobyły, ale po dawnemu ciągną korzyści z poprzednich swych, dawnych, epokę starożytną pamiętających praw!

Sprytnie się urządziły, trzeba im to przyznać!

Albo to na przykład: który z mężczyzn zdecydowałby się wystąpić, jako dowód rzeczowy przed sądem?

I to nie raz, ale stale, systematycznie, zrobić sobie z tego zawód, środek utrzymania?

Nie, taki tupet może mieć tylko kobieta!

Kto nie wierzy, niechaj słucha:

Przy ulicy Hardenberga, między Kapitolem i ogrodem zoologicznym, spotykam się z Cécile Tabor. Nie znacie jej?

W Dreźnie, Monachium i w Berlinie nie bez talentu role salonowe grywała. Sztuka jej jednak na tem głównie polegała, że umiała żyć z przesadzonego o sobie mniemania.

W takiego nawet doświadczonego dyrektora teatralnego, jak Głowitzky potrafiła wmówić, że ona, Cécile, jest osobką pierwszej klasy. Umiała również wiarą w siebie każdego ze swych kochanków tak długo łamać, aż w niej tylko w końcu widział, jedyną swą podporę i ostoję w życiu.

Największa jednak doza szacunku dla samego siebie nie wytrzymała zbyt długiego braku engagement. To też, gdy ostatni raz z Cécil się widziałem, miała minę bardzo skwaszoną.

Wczoraj za to, przy ulicy Hardenberga zbliżyła się do mnie w prostym lecz eleganckim ciemnym kostjumie, ze świeżym zielono-czarnym kapelusikiem na głowie, starannie wypięlegnowaną twarzyczką, ładnie undulowanymi włosami — czarująca jednym słowem.

— Ach zawołała — chodźmy wypić filiżankę kawy razem!

Spojrzałem na zegarek.

— Co za nierycerskość! — upomniała mnie natychmiast.

Wcisnęliśmy się tedy w ul kawiarni Kapitoli i zdobyliśmy nawet miejsce. Nie miałem nigdy coprawda upodobania do tak tłumnie nawiedzanych lokali, ale kobiety w rodzaju Cécile nie mogą żyć bez nich.

jak się zdaje. Spojrzawszy mi spokojnie i przenikliwie w oczy, otworzyła tarebkę, wyjęła z niej trzydzieści marek i rzekła podając mi je:

— Tyle, zdaje się, ostatnim razem pożyczylam od pana.

Sponsowałem. Który z mężczyzn nie zaczerwił się mimowoli, gdy mu kobieta pieniądze daje?

— Proszę — nalegała z uśmiechem — doskonale mi się teraz powodzi.

— Gdzie pani gra? — spytałem.

Dyskretny i złośliwy uśmiezek lekko uchylił jej starannie wyszminekowane wargi

Zupełnie przypadkowo doskonały zawód znalazłam — odparła — zawód, w którym możliwość mam rozwinąć wszystkie moje zdolności.

— To mię bardzo interesuje — rzekłem grzecznie.

Znów spojrzała mi w oczy, później na zegarek, mówiąc:

— Jeżeli pan ma do wpół do szóstej czas, może mię pan na występie zobaczyć, a ja rada z towarzysza będę.

Mądra dziewczyna zauważyła widocznie, że mam świeżo odprasowany garnitur.

— Pani mię intryguje, Cécile — odparłem — i mam do wpół do szóstej czas; mogę pani towarzyszyć zatem.

— Doskonale — rzekła, zapalając papierosa. — Jestem dowodem rzeczowym przed sądem.

Dowodem rzeczowym? — spytałem zdumiony.

— Tak — odpowiedziała i dalej tłumaczyć mi:

— Występuję w procesach rozwodowych. Samo to przyszło. Znasz pan Ole Knudsen? Otóż, żona jego jest o dziesięć lat od niego starszą i małżeństwo szwankowało z tego powodu. Pani Hildegard po za tem lubi w innych gustować, jak to panu dobrze zresztą wiadomo!

Postanowili więc oboje rozstać się bez hałasu. Ole Knudsen chętnie wziął winę na siebie. Chodziło o to tylko, aby znaleźć partnerkę złamania wiary małżeńskiej, a że objekty, które berliński adwokat, radca prawny, Mohrenkopf — specjalista od takich wypadków, proponował, małżonkom do gustu nie przypadły, Ole do mnie się zwrócił z prośbą, abym w tej roli wystąpić zechciała.

Mam odmówić zeznania i nic ponadto, za co on, Ole Knudsen, obiecał mi ostatni mój rachunek u krawcowej zapłacić.

Przyznam ci się, kochany panie, że jakkolwiek radca prawny Mohrenkopf dobrze mię roli wyuczył, ze strachem pierwszy raz udałam się na salę sądową i dużo mię kosztowało, nim dobrze odmówiłam zeznania.

Nieźle mi jednak poszło. Moja krawcowa (przedtem sprawę szeroko z nią omówiłam) podała kochanemu Ole rachunek,

który mi pozwolił pół miesiąca przeżyć swobodnie.

Występ mój bardzo się Mohrenkopfowi, radcy prawnemu spodobał. Kazał mi przyjść do siebie i inny proces rozwodowy mi przedstawił. Chodziło o Amerykankę, która wyszła za mąż za barona N. N., ażeby jego nazwisko móc nosić, a później zapragnęła również bez rozgłosu — rozstać się z nim. W ten sposób jak pan widzi, zdobyłam już praktykę.

— Tak, Cécile — odparłem — rozumiem; ale pani rzucający się w oczy wygląd, pani nazwisko, musi zwracać uwagę sędziów. Zresztą, tak po kupiecku, jeszcze dotychczas nie przeprowadzano rozwodów, choć, przyznać trzeba, że byłoby to na czasie.

— Ach — zaśmiała się Cécile, — kocha ny przyjacielu; w sądzie noszę moje mi-szcząskie nazwisko — Marja Majer i nigdy drugi raz przed tym samym sędzią nie staję w kapeluszu i uczesaniu poprzednim. Na tem właśnie moja sztuka polega.

Zaciekawiła mię mocno najmniejsza rola Cécile. Natychmiast po kawie pojechaliśmy do sądu.

Wywoływano właśnie rozwodową sprawę Sporka.

Jakiś staruszek, kilka starszych pań i ja stanowiliśmy publiczność.

Cécile była nadzwyczajna. Siedziała na ławce z wielkimi pytającymi oczami; między lekko uchylonemi wargami lśniły białe zęby.

Kiedy wzrok sędziego lub adwokata pa dał na nią, łopatkki jej drgały, jakgdyby była nawskroś zziębnięta. Świetna sylwetka krnabrnej, zawziętej w swym uporze i nie mającej czystego sumienia kobiety!

Sędzia, rozumny i poważny jegomość, przywoławszy Cécile, kazał jej jako Marji Majer złożyć przysięgę.

Przysięgła bezzwycięznie, nic nie mówiącym głosem.

Wówczas sędzia zwrócił się do niej z pytaniem:

— Co pani ma do powiedzenia na swoją obronę?

— Odmawiam odpowiedzi — odparła.

Wolgnięto jej słowa do protokołu. Ale sędzia przyjrzał się jej bacznie. Poczem skinawszy głową, rzekł.

Szanowna pani, zdaje mi się, że miesiąc temu spotkaliśmy się w tem samym miejscu. Proszę przyjąć od starego, doświadczonego człowieka radę: droga po której idziesz, w dół prowadzi. Przepraszam szanowną panią!

U wyjścia zastałem Cécile bardzo wzburzoną.

— Jak on śmiał! — zawołała. Ale to wina Mohrenkopfa! Gdyby mi był powiedział, że dziś Shormann urzęduje, nie byłabym tego zielonego kapelusza z czarna opaską włożyła!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok IV.

Łódź, dnia 21 sierpnia 1927 roku.

Nr. 34.

Sport lekkoatletyczny w Tow. Gimnastycznym „Sokół”.



Idea wychowania fizycznego krzewi się wśród młodzieży naszej, zgrupowanej w licznych stowarzyszeniach nader pomyślnie. Hołdują jej młodzi i starsi, sokołowie i sokolice ćwiczących w siedzibie gniazda Łódź II,

Fot. J. Sokołowski.

Dr. Wiktor Hahn

Słowackiego: „Horsztyński”. i Mickiewicza: „Jakób Jasiński”.

W poniższem pragnę zwrócić uwagę na podobieństwo dwóch utworów dramatycznych Słowackiego i Mickiewicza, podobieństwo zupełnie przypadkowe, nie może być bowiem mowy o jakimkolwiek wpływie jednego z wielkich twórców na drugiego. Mam tu na myśli tragedję Słowackiego, znaną pod tytułem, nadanym jej przez A. Małeckiego: „Horsztyński”, napisaną w r. 1835, nie wydaną za życia poety, i tragedję Mickiewicza, skreśloną w języku francuskim — p. t. „Jacques Jasiński ou Les deux Polonois”, pochodzącą z r. 1837, z której, jak wiadomo, zachowały się tylko cztery sceny aktu I, ponadto z opracowania polskiego scena pierwsza aktu IV powstała znacznie później, podczas pobytu w Konstantynopolu w r. 1855, tuż przed śmiercią.

Obie tragedje osnute są na tle tych samych zdarzeń historycznych, uwzględniają bowiem znane wypadki, jakie rozegrały się na Litwie w r. 1794. Nadmienić przytem wypada, że w opracowaniu francuskim Mickiewicza akt I (ekspozycja tragedji) dzieje się w 1792 r.; opracowanie polskie (akt IV) uwzględnia dzieje 1794 r.; u Mickiewicza więc akcja obejmowała przeciąg trzech lat (1792—1794).

Ubocznie mowa jest w obu tragedjach o wypadkach warszawskich 1794 r., t. j. o powstaniu Kilińskiego (Horsztyński, akt V, Jasiński akt IV). W Horsztyńskim nieznanomy opowiada w a. V szczegółowo o akcji Jakóba Jasińskiego w Wilnie w kwietniu 1794 roku, po za tem w kilku poprzednich scenach jest także mowa o nim, nie można wątpić też, że i w tragedji Mickiewicza powstanie pod wodzą Jasińskiego, głównego bohatera utworu, musiało stanowić jeden z głównych momentów akcji.

Czy Mickiewicz przedstawił także bohaterką śmierć Jasińskiego, trudno roz-

strzygnąć; przypuszczać jednak można z wielkiem prawdopodobieństwem, że z rozwoju akcji wynikało niejako konieczne takie jej zakończenie.

Po za tem wspólna obu tragedjom jest postać Szymona Kossakowskiego, Hetmana wielkiego litewskiego, skreślona zwłaszcza przez Słowackiego z niezwykłą intuicją, przedziwną plastyką. Obaj poeci uwydatniają przedewszystkiem jego niepochamowaną dumę, nieludzkość względem podwładnych; scena między hetmanem a Sforą w Horsztyńskim (scena III w akcie II) jest analogiczna do sceny pierwszej; aktu IV w Jasińskim, w której Kossakowski dopuszcza się gwałtu na majorze Zawiszy.

Do najspanialszych ustępów w Horsztyńskim należy opowiadanie o powieszeniu Hetmana w Wilnie; przypuszczać można, że ten sam moment stanowił treść jednej ze scen w Jasińskim.

Obaj poeci niezgodnie z rzeczywistością

przedstawiają stosunki rodzinne hetmana Kossakowskiego; Słowacki wprowadza w Horsztyńskim troje jego dzieci: Szczęsnego, Amelję i Michasia; istotnie jednak Kossakowski nie miał synów, jedyną zaś jego córką zmarła w r. 1788, to jest sześć lat przed wypadkami przedstawionymi w tragedji. — Podobnie w Jasińskim motyw poślubienia owdowiałej Klary przez Hetmana, jako też motyw złączenia węzłem małżeńskim siostry Hetmana z komandorem maltańskim, synem referendarza wielkiego litewskiego, są wytworem fantazji Mickiewicza. Przypuszczać można, że jednym z głównych motywów akcji w Jasińskim była miłość jego i Klary, prawdopodobnie także nie odpowiadająca rzeczywistości.

Słowacki wspomina w Horsztyńskim o smutnej pamięci bracie Hetmana, biskupie Józefie Kossakowskim (akt I, scena 1), Mickiewicz wprowadza go jako osobę działającą. Podobieństwo wykazuje dalej przedstawienie dwóch partyj, zwalczających się

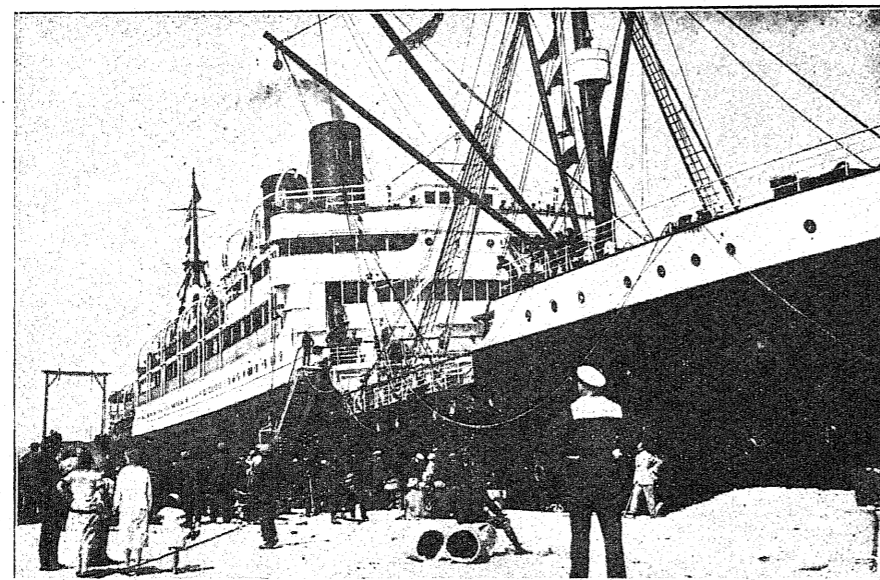
wówczas na Litwie: narodowej i moskalfilskiej. W Horsztyńskim jednak wypadki polityczne stoją na dalszym planie, tak, że tragedia nie jest w ścisłem tego słowa znaczeniu historyczna, natomiast w Jasińskim wysuwa się tło historyczno-polityczne, jako najgłówniejszy moment akcji; według wszelkiego prawdopodobieństwa, charakter ten utrzymał poeta i w dalszych aktach. Pod względem wykonania wyższość ma sta nowczo Horsztyński. Jasiński, w zachowanych scenach nie ma przedewszystkiem żywej akcji; toczy się ona w dIALOGACH, za nadto długich, nieraz nużących.

Mimo tylu wspólnych punktów stycznych *) nie może być mowy, jak już wspomniałem, o zależności obu utworów. Horsztyński, wykończony przez Słowackiego, zachowany jednak w stanie defektywnym, jako niewydany, nie był znany Mickiewiczowi, który z pewnością nie wiedział nic o tem dziele Słowackiego. Czysto więc przypadkowe jest podobieństwo obu tragedji, ciekawe jednak, pozwala bowiem wniknąć w sposób opracowania tego samego mniej więcej przedmiotu przez dwóch największych naszych poetów.

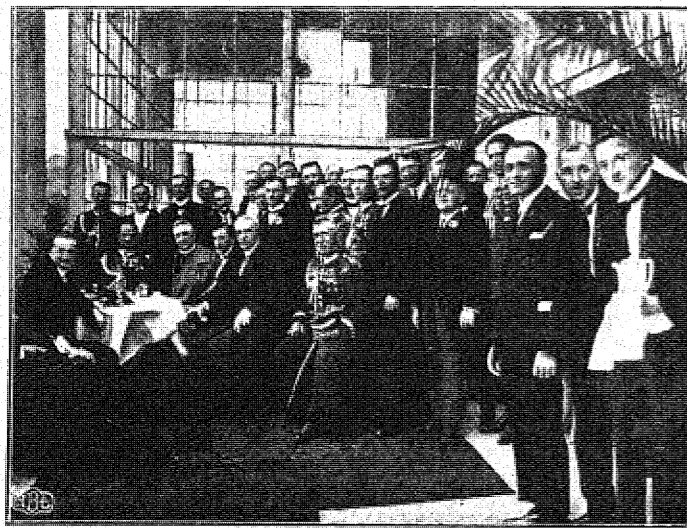
*) Nawet w drobnych szczegółach są analogje, wynikające z opracowania tych samych motywów. Tak np. obaj poeci wspominają o konfederacji barskiej (Horsztyński, akt I, scena II, Jasiński akt IV, scena I), o Drewiczu (Horsztyński akt I, scena II, Jasiński akt IV, scena I) niejaki podobieństwo widoczne jest także między zebraniem szlachty w Horsztyńskim (akt IV, scena II) i tajnem zgromadzeniem spiskowców, wspomnianem w Jasińskim akt I, scena I.



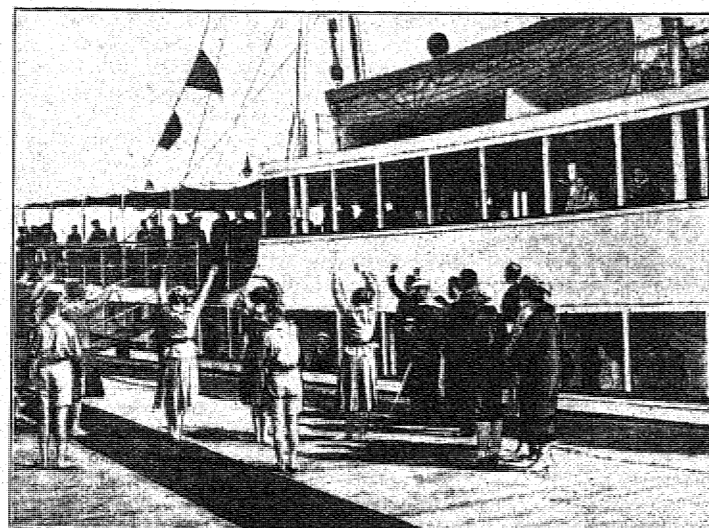
Wizytacja kolonij letnich Stow. Młodzieży Polskiej w Tuszynie przez J. E. ks. biskupa-sufragana dr. Tomczaka. Na zdjęciu J. E. ks. biskup Tomczak, pułkownik Połkowski, ks. proboszcz Pełczyński, ks. kapelan Nowicki oraz uczestniczki kolonji.



Olbrymi okręt pasażerski „Suffren”, którym przybyła z Paryża do Polski wycieczka weteranów polskich z Ameryki. „Suffren” w porcie gdyńskim.



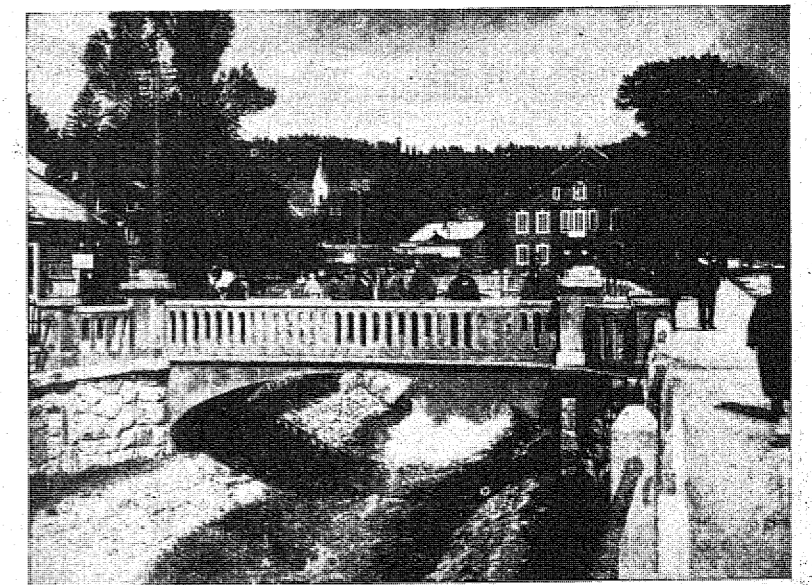
P. Prezydent Rzplitej w Gdyni. Uroczyste powitanie i przyjęcie Dostojnego Gościa przez przedstawicieli miasta.



P. Prezydent na nowo poświęconym polskim statku pasażerskim „Gdyni”, wyrusza na pełne morze. Fot. A. Mayer.



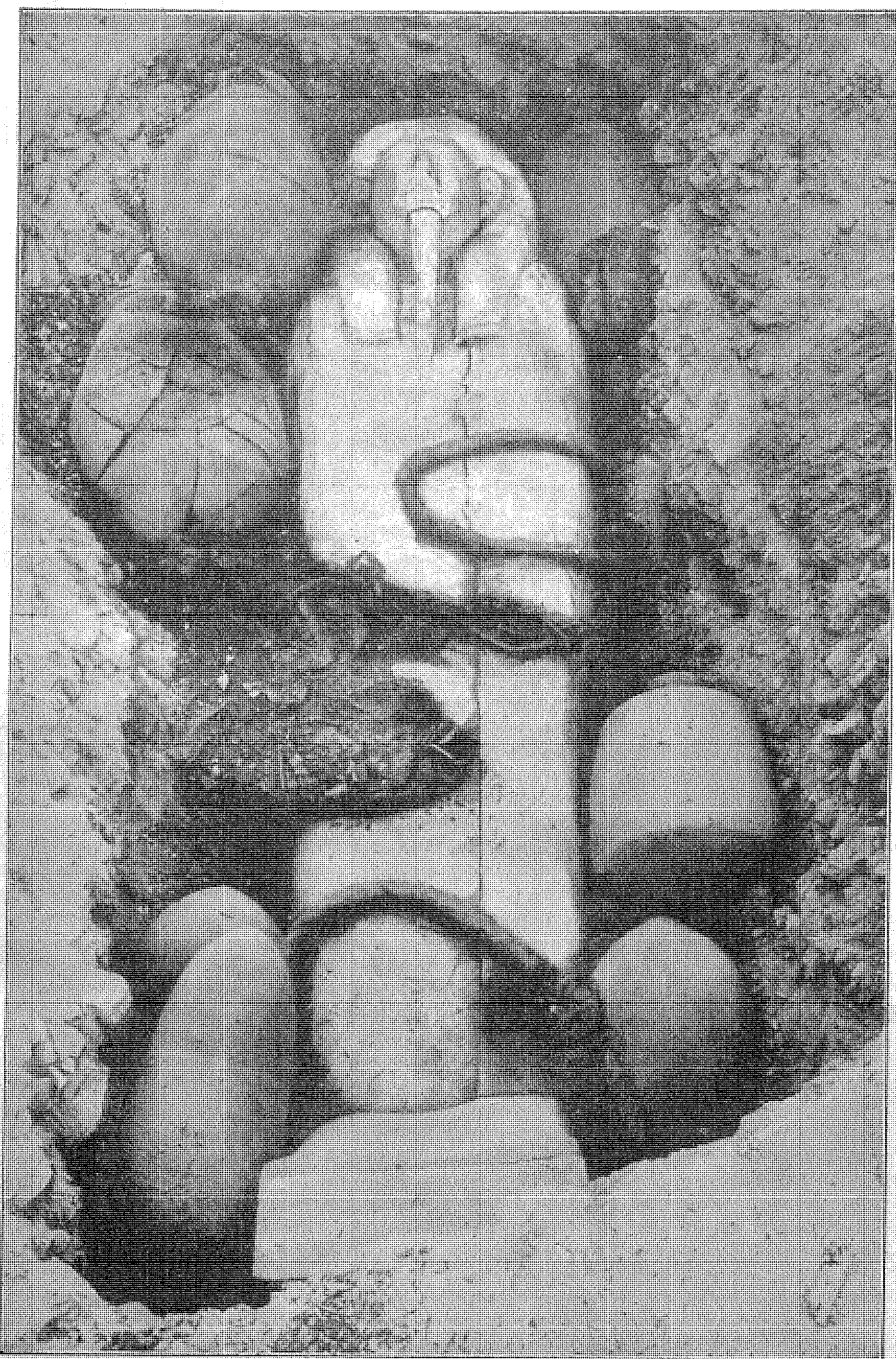
Szef polskiego lotnictwa, płk. L. Rayski.



Krynica — widok na teatr.



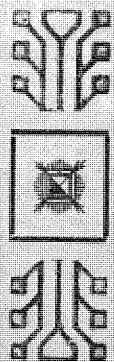
Na urlopie. Po celnym strzale zapewniona zdobycz.



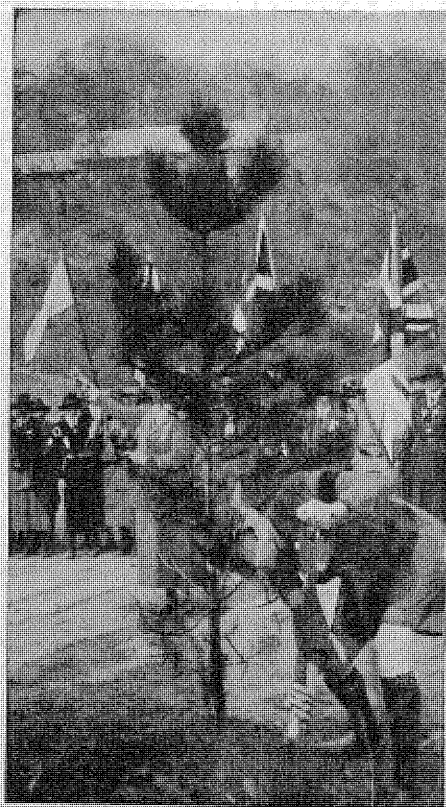
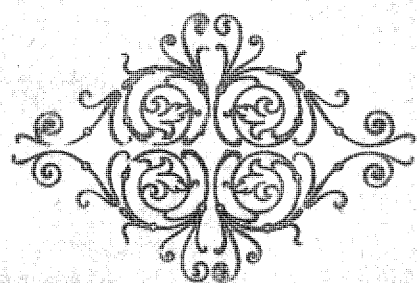
Wykopaliska egipskie. Grobowiec z mumią i urnami.



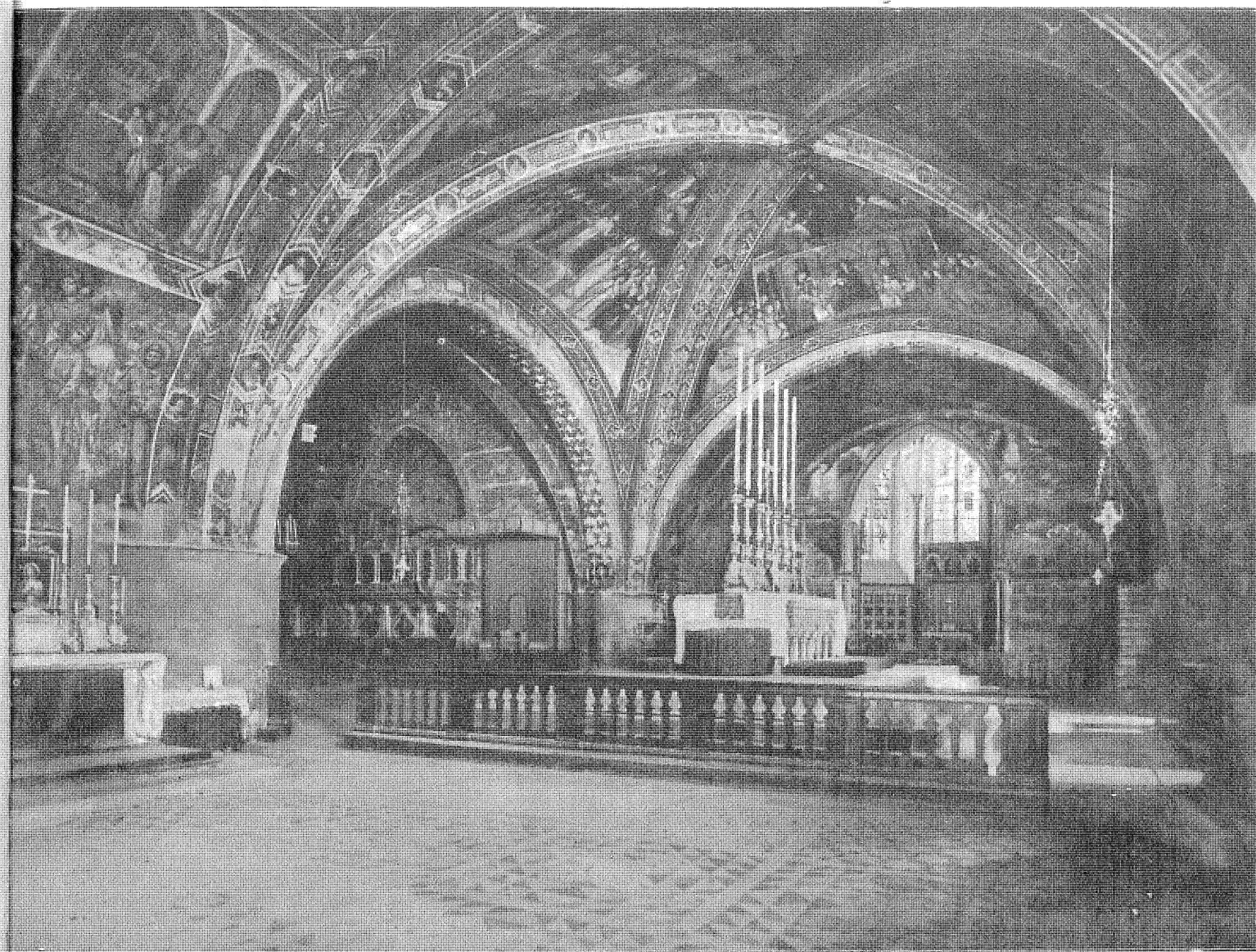
Wystawa lalek dla dzieci w Londynie.



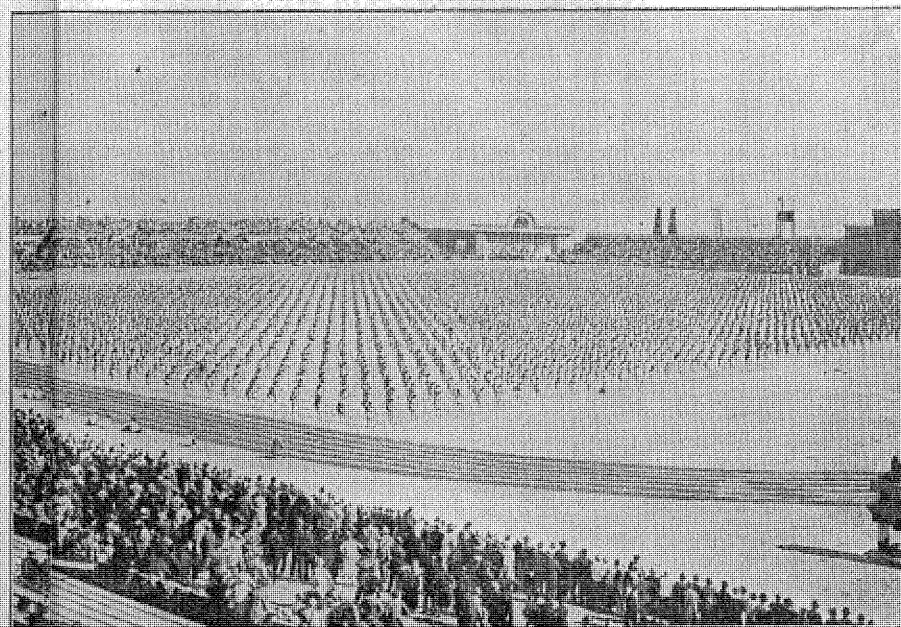
Obraz olejny. Św. Franciszek z Asyżu.



Sir Robert Baden Powel, wódz harcerzy przy pracy w „Alei Narodów”.



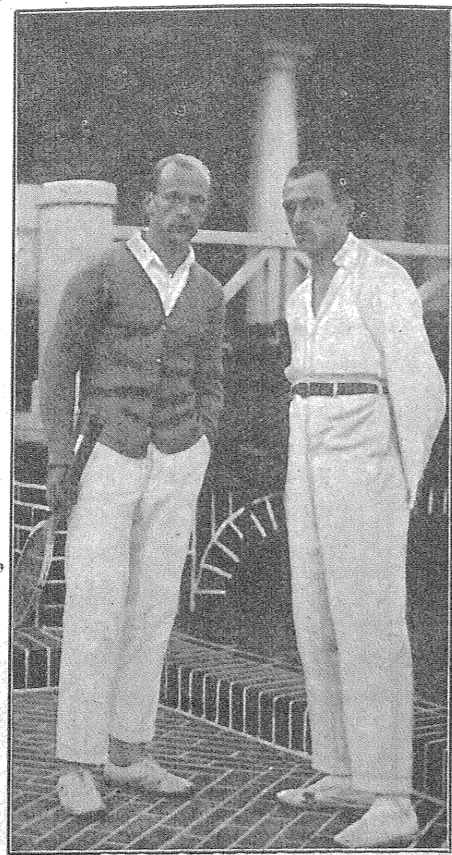
Wnętrze kościoła św. Franciszka z Asyżu.



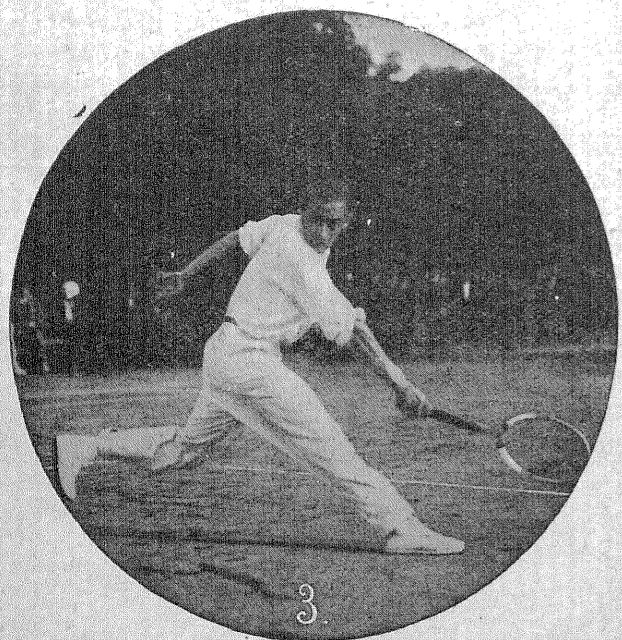
Igrzyska międzynarodowe w Pradze. Widok stadionu w czasie ćwiczeń gimnastycznych.



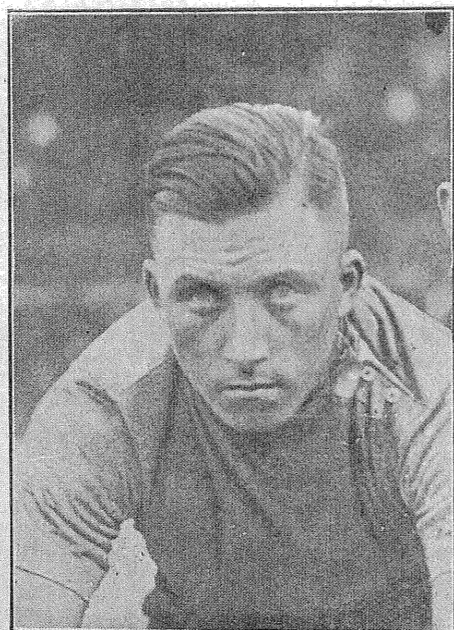
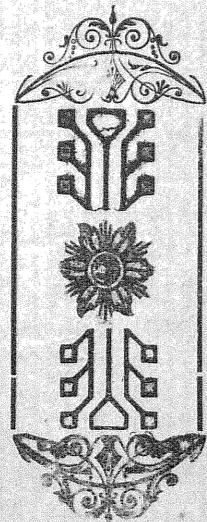
Na polowaniu. Po oddanym strzale.



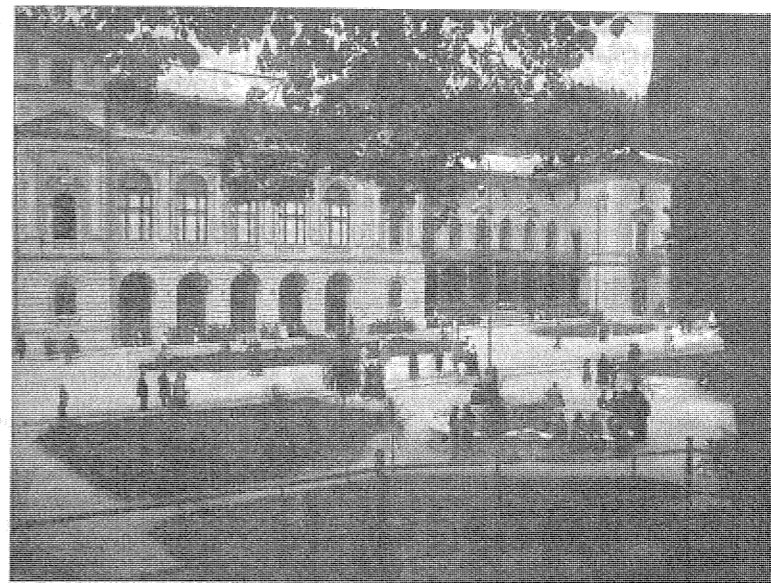
Tennisowe mistrzostwa Polski w Krakowie. Stoją: lodzianka Wiera Richterówna i Karol Steinert, mistrz Polski, Stanisław Czwertyński, Jan Loth i Marszewski.



Tennisowe mistrzostwa Polski w Krakowie. Mistrz Polski Jerzy Stolarow (Łódź) w backhandzie.



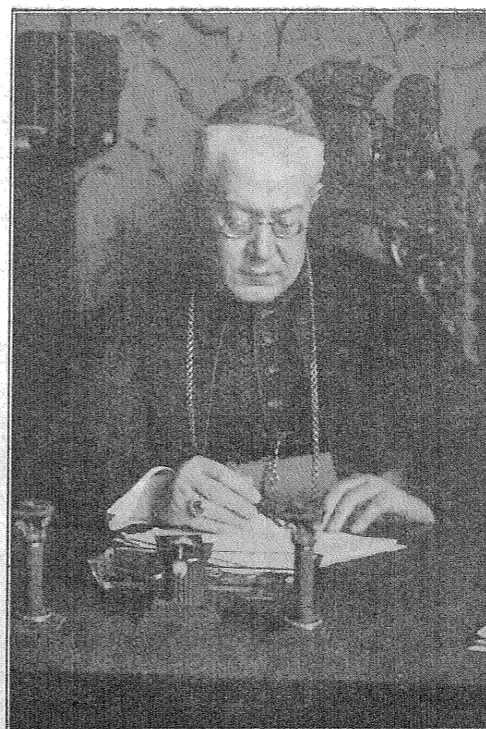
Artur Szmidt (Union-Łódź), mistrz Polski na rok 1927, reprezentował barwę narodową na mistrzostwach świata w Kolonii.



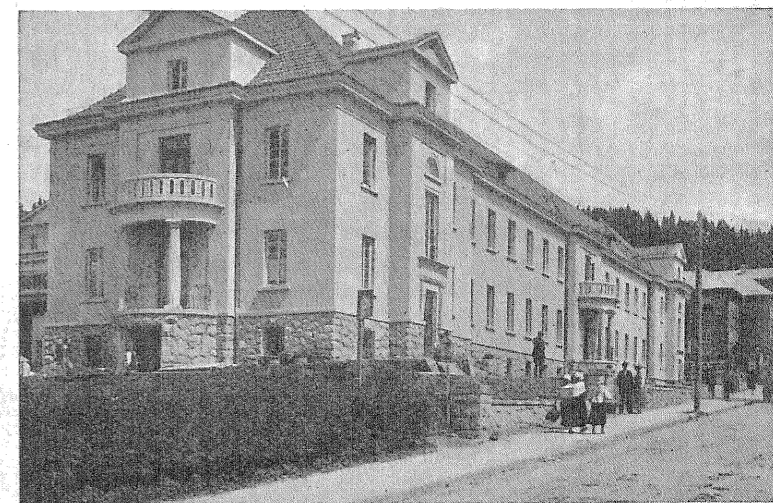
Dom zdrojowy w Krynicy.



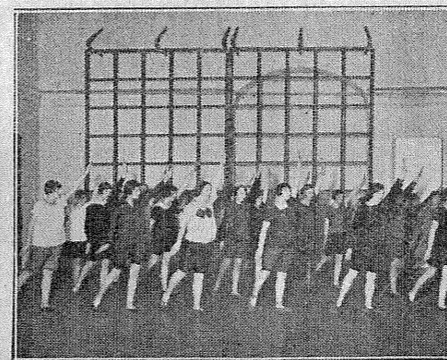
Polski nurek przed zejściem na dno morskie.



Pronuncjusz Monsignore Lauri.



Fronton nowych łaźni w Krynicy.



Ćwiczenia pań w Łódzkim Ośrodku Wychowania Fizycznego.



Chłopki łowickie w strojach narodowych.

S. FOERSTER-STREFFLEUR.

Syn pana Liuweikwei.

Tuzin niemal małych chińskich dziewczynek skacze i zatacza się z wesołym śmiechem i przyjaznym wyrazem twarzy — czekają wokół nas.

Jesteśmy u postępowo usposobionej rodziny Liu z wizytą i młodsze dziewczeczki nie mają już związanych nóżek, podczas gdy starsze: dwie latorośle musiały się jeszcze we wczesnej swej młodości poddać tej procedurze.

To też teraz z trudem za rodzeństwem zdążają.

Najmłodsze trzymają się mocno fałdów sukni, towarzyszących im kobiet, których stosunek wzajemnego pokrewieństwa pozostaje na zawsze tajemnicą dla nas, wobec tego, że na wszelkie nasze pytania — która z nich jest szczęśliwą matką miłych dzieci — otrzymujemy tylko stłumiony chichot w odpowiedzi.

Pan Liuweikwei, młodszy urzędnik obwodu Ningpo, zaprosił nas do Kinnwu w celu odwiedzenia jego rodziny. — Z wielką radością zaproszenie przyjęliśmy, sposobność bowiem poznania surowo zamkniętego życia rodzinnego Chińczyków, — bardzo rzadko się zdarza.

Dzieci szczególnie budziły naszą ciekawość. Pan Liu bowiem na nasze pytanie odparł, że ma jednego syna tylko, co do imienia jego i wieku jednak nie raczył nas poinformować.

Mieliśmy zatem z synkiem tym znajomość zawrzeć; inne dzieci też się pewnie zjawia; czyż w tym kraju bowiem nie spotyka się po domach dzieci gromadnie?

Kinnwu jest to wioska w górach na południu od Ningpo; towarzystwo nasze zmierzając ku niej piękna lesistą drogą. Jasnozielone bambusowe gaje w czarującym kontraście z ciemniejszą zielenią drzew liściastych oraz mrocznymi sylwetkami świerków i cyprysów w kalejdoskopowym korowodzie wiodą nas do celu.

Rodzina Liu mieszka niedaleko starego klasztoru budhystów, w czystej i wesołej jasności barw willi własnej.

Przyjmuje nas głębokimi ukłonami i uroczystą przemową sam gospodarz domu. Podczas kiedy mężczyźni idą obejrzać świątynię wraz z okolica Kinnwu, damy mogą przez cały dzień wśród żeńskich członków rodziny pozostać.

Stoimy zatem w ogrodzie pani Liu w wianku małych dziewczynek. Na pytanie, gdzie jest synek pana Liu, słyszymy znowu chichot w odpowiedzi. Nikt się już w końcu nie interesuje tajemniczą istotą, której ani rusz poznać nie można, inne bowiem dzieci absorbują uwagę, a jest ich sporo.

Może chłopiec stoi zbyt wysoko, aby się z dziewczynkami bawić — tyle słyszymy przecież o nierówności płci w Chinach! U starych klasyków czytamy wszakże, że syny w Chinach w purpurze, jedwabiu i złocie się rodzą, by nad światem panować, có-

ry zaś w grubym, szarym płótnie, by w kuchennych sprawach się ćwiczyć i czoła rodziców chmurą nie troszczyć.

Nie należy jednak słów tych brać dosłownie, gdyż piękniejszych sukien jedwabnych jak Chinki, żadna kobieta na kuli ziemskiej nie nosi. Pamiętać trzeba natomiast o nauce samego Buddy, który powiadał:

„Mężczyzna stoi tak wysoko, jak niebo, kobieta tak nisko i głęboko, jak kula ziemska.“

I tu wszakże praktyka nie jest z teorią w zgodzie, bo oto z wioski okolicznych nadbiega gromada „wysoko postawionych“ istot i możemy naocznie się przekonać, jak się doskonale z „nisko postawionymi“ dziewczynkami bawia, niczem dzieci innych krajów.

Różnica między płciami polega głównie na innym systemie nauczania, które też o stanowisku w świecie decyduje.

W dawniejszych czasach dziewczęta przyuczano do trzech obowiązków jedynie: jako dziecko słuchać ojca, jako żona — męża, jako wdowa — najstarszego syna.

Obu płciom jednakże wpaja się w równym stopniu głębokie przekonanie o wyższości rasy chińskiej i pogardę dla obcych, barbarzyńcami lub diabłami przez Chińczyków zwanych.

W gościnnym domu pana Liu, nie wyczuwamy nic z owej pogardy wszakże; traktują nas jak najlepiej i, jakkolwiek dla braku dostatecznej znajomości języka, z trudem porozumiewać się możemy, dzielimy się zatem swobodnie wrażeniami naszymi między sobą.

Z dziećmi szczególnie bliższa znajomość szybko została zawarta — wspólność języka zastąpiła tu bowiem słodycze.

Starsze dzieci pokazują nam swoje ćwiczenia szkolne, młodsze ściągają stopy drewnianych śmiesznych zabawek, z którymi europejskie dziecko nie wiedziałoby, co począć; kobiety — piękne chińskie kobiety — otwierają na roście szafy i skrzynie, w których podziwiać możemy przepiękne jedwabie i hafty.

Ubrania dziecięce trudno rozróżnić.

Na nasze pytanie, które dla dziewczynki, a które dla chłopca są przeznaczone, zamilka magle nieprzerwane niemal paplanie Chinek i pani Liu poważnym głosem nadmienia, że coś równie nieprzyzwoitego u niej w domu miejsca mieć nie może.

Niewolno, aby ubranie chłopców i dziewcząt razem w jednej skrzyni leżały. Tu jest tylko garderoba dziewczęca.

Godzina rozstania nadchodzi niebawem. Uściski rąk i pocałunki w Chinach nie istnieją; uśmiechamy się zatem tylko w głębokich ukłonach do siebie i do lektyk naszych wsiadamy.

Spotkawszy na pierwszym zaraz postoju jednego z chińskich mych przyjaciół, pytam ze zdziwieniem, dlaczego właściwie synka pana Liu nie mogliśmy zobaczyć?

— Kiedy ojciec ma ośm córek — szepcze mi Chińczyk w odpowiedzi w obawie, aby który z przyjaciół pana Liu nie usłyszał — nikomu, rzecz prosta, z tem się nie chwali, a tylko wszystkie razem „jednym synem“ nazywa.

Tlum. Jotsaw.



Stefan Jaracz w „Portrecie i Masce“.



Rok IV.

Łódź, dnia 28 sierpnia 1927 roku.

Nr. 35.

Południe w fabrykach łódzkich.



Przy większych fabrykach w Łodzi istnieją specjalne sale, przeznaczone na jadalnie dla robotników. W godzinach obiadowych, po chwilowym przerwaniu pracy, w salach takich gromadzą się robotnicy, by posiliwszy się, wrócić do swych warsztatów.

Na zdjęciu powyższem widzimy robotników fabryki Tow. Akc. Wyrobu Niści w Widzewie, spożywających obiad w sali jadalnej.

Fot. Aleksander Meyer